Nr. 9 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 1 maja 1930 | Rok 52

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	15		15	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15	■	■	15				
Bataljony						■	10					
Dzikie kaczory						■	10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	10					
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

TREŚĆ NUMERU 9:

Nr. 9 We Lwowie, 1 maja 1930 Rok 52



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Przypomnienie!

Przypominamy, że rozp. Wojew. lwowskiego, z dnia 6-go XI. 1929, został przedłużony czas ochronny na rogacze-sarny, do 15 czerwca br.

P. T. Członków M. T. Ł. Oddziału krakowskiego zwracamy uwagę na zwołanie Ogólnego Zebrania (str. 143).

ALEKSANDER PRZEDRZYMIRSKI

Po śladach legendy

(Ciąg dalszy)

Ciekawym był sposób eksploatacji lasów. Gdy zjawił się kupiec pragnący nabyć jakiś drzewostan, spisywano z nim rodzaj „terminatki", w której wymieniona była ilość dębów, jodeł czy sosen, które nabywa, oraz cena jednostkowa od sztuki na wybór. Lasy były odwieczne, drzewostan masztowy, jakiego dziś się nie widuje, ceny minimalne. Dąb najprzedniejszy na wybór sprzedawano najwyżej po 5 austr. guldenów (około dwa dolary), masztową sosnę lub jodłę po 2—3 guldenów. Zależało teraz na tem, ażeby kupiec, naturalnie pejsaty, nie wywiózł z lasu np. tysiąca pni zamiast 500 kupionych. Dozoru fachowego nie było, a funkcje gajowych pełnili niepłatni „Draby" nie dający żadnej gwarancji. Wynaleziono więc swoisty sposób kontroli. W którejś z wsi należących do dóbr Tyszkowskich wyszukiwano dwóch chłopów wiodących ze sobą odwieczne spory i rozżartych wzajemnie na siebie do tego stopnia, że jeden drugiego chętnieby w łyżce wody utopił i takich dwóch aniołów stróżów dodawano żydowi, jako nieodstępnych towarzyszów, aż do ukończenia wywozu.

Pomimo tak oryginalnej administracji fortuna nie malała. Karczmy, lasy, młyny, tartaki dawały przecież jakiś dochód a kapitały uzyskane z indemnizacji pańszczyźnianej a później z propinacyjnej, przedstawiały w tak wielkich dobrach bardzo poważne walory. Niewielkie stosunkowo potrzeby Tyszkowskich nie wyczerpywały dochodów, to też terytorjalnie majątek wzrastał, gdyż Tyszkowscy kupowali wszelką ziemię, jaka w ich sąsiedztwie była do kupienia.

Panowie patrzący przez palce na kradzież, pozwalający paść i rąbać po lasach i worywać się w miedze, musieli cieszyć się wśród szerokich rzesz chłopskich niepowszednią popularnością. To też w razie jakichkolwiek wyborów nie było innego kandydata, jak Tyszkowski. Przez długi bardzo szereg lat, stanowiska posłów do parlamentu wiedeńskiego, czy też do Sejmu galicyjsk., jak nie mniej fotel marszałka powiatowego w Dobromilu, objęte były stale przez Tyszkowskich i stan ten trwał aż do śmierci Józefa i Antoniego, jakoteż adoptowanego syna tego ostatniego, zmarłego w r. 1920 Pawła, który cały swój olbrzymi majątek odziedziczony po Józefie i Antonim zapisał krakowskiej Akademji Umiejętności.

W tę domenę Tyszkowskich nikt nie wkraczał, a gdy z chwilą narodzin „piątej kurji" spróbowali apostołowie nowych prądów postawić w okręgu dobromilskim swego kandydata, odeszli stamtąd prędzej niż przyszli i to do tego z mocno nadwerężonem uzębieniem.

Szereg pokoleń chłopskich głosował zawsze na Tyszkowskich i to tak weszło w krew chłopską, że opowiadano, że pierwszym okrzykiem, jakim witał świat nowonarodzony „małorolny" był „Tyszkowski".

Starszy z braci, Józef, z którym nigdy nie polowałem, zmarł bowiem z początkiem lat 80-tych ub. wieku, t. j. w chwili, gdym siedział jeszcze na ławie szkolnej, mieszkał w Huwnikach, młodszy Antoni w niedalekiej Trójcy. Pan Józef był myśliwym w wielkim dawnym stylu. Co jesieni po św. Michale, wziąwszy z sobą kilkunastu „Drabów" i kilkadziesiąt psów, kuchnię polową i namioty, wyprawiał się na łowy. Szedł przez swoje i nieswoje, przechodził powiaty przemyski, dobromilski, staromiejski, liski, opierał się aż o węgierskie rubieże, a może nawet je przekraczał. Do dziś stoją w muzeum Dzieduszyckich we Lwowie trofea tych łowów w postaci groźnych niedźwiedzi i karpackich rogali. Wyprawa taka trwała parę tygodni, zanim łowcy syci trudów i łupów zjawiali się z mocno przerzedzoną psiarnią w Huwnikach.

Charakterystycznem jest dla naszych dawnych łowców z ogarami, że głównie polowali w jesieni. Dziś czekamy z upragnieniem ponowy, na małych parcelkach tropimy dziki i huczkami wyganiamy spokojną świnię z chlewa na pociski niezawodnych ekspresów i manlicherów. Dawny łowiec z równem upragnieniem oczekiwał długotrwałych ros jesiennych, tak korzystnych dla psich nosów i oceniać umiał miękie pole, na którem nie cierpiały psie nogi.

Niedawno Dr. Wł. Ziembicki przypomniał nam w Łowcu barwnem swem piórem jesienne łowieckie wspomnienia Jana III. Łowy w „Panu Tadeuszu" odbywają się także w jesieni. Sam znałem starych myśliwych z psami, którzy entuzjastycznie wyrażali się o jesieni. Pamiętam Aleksandra Ubysza, chodzącego z powodu odcisków po lesie bybelskim w przemyskiem w czerwonych pantoflach i podkładającego swoją gończą sukę „Dyskę" tak nazwaną na złość jednemu z sąsiadów, ożenionemu z Tyską, jak mówił do mnie: „A to cudowny czas dla psów i myśliwego, patrz, w czem dziś można chodzić po lesie". Pamiętam Zenona Nowosieleckiego z Kniażyc w przemyskiem, który mawiał: „Ponowa doskonała dla kuchni, dla psów i myśliwego, niema jak jesień". Zapewne czar jesieni w lesie jest wielki, gdy knieje lśnią złotem i żarzą się szkarłatem i gdy z ich głębi dochodzi ucha myśliwego jazgot psiarni. Myśliwy stoi przed nieznanem, nie wie, czy z gąszczu wypadnie szarak lub lis, czy rogacz lub odyniec i w tej niepewności tkwi także urok niemały. Inne to były czasy i inne zapatrywania. Granica dla myśliwego była dosyć luźnem pojęciem. Charciarz jechał, dokąd go szarak poprowadził. Myśliwy z ogarami stał nieraz nad powalonym odyńcem w nieznanej sobie zupełnie kniei. Mógł więc p. Józef Tyszkowski iść przez swoje i nieswoje, bo zgodnem to było z ówczesnemi pojęciami i duchem czasu. Inne to były zapatrywania i inne zespoły myśliwskie. Łowiectwo było zakonem hartującym ducha i ciało. Nie widywało się owych wykwintnych lordów dzisiejszych, których życie składa się w połowie z pojęcia „ja nie mogę" a w drugiej „ja muszę". Myśliwy ówczesny zahartowany był na wszystkie przeciwności, na złe drogi, na aurę, na niewygodne noclegi, na niewybredną i „niehigjeniczną" kuchnię, mógł wszystko a niczego nie „musiał". To też na długie lata zachowywał czerstwość, odporność i niespożytą werwę łowiecką.

Dziś, w naszych wszechstronnie „oparagrafowanych" stosunkach rzeczy takie są niemożliwe, dziś gdy w własnym twoim miocie idzie wieczorem na ciebie wilk czy dzik, musisz „poprawny" Łowcze poradzić się zegarka i kieszonkowego kalendarza, by się upewnić, że do zachodu brakuje jeszcze kilka sekund i że wolno Ci nacisnąć cyngiel bez obawy popełnienia bezprawia. — Łowiectwo dzisiejsze traci coraz bardziej swój dawny epopejowy charakter a schodzi do rzędu ściśle ograniczonego procedurą, w obec którego nie urodzi się już nowy „Freischütz" ani drugi „Chór strzelców".

Miewał p. Józef Tyszkowski czasem i zatargi o granice, pomimo ówczesnej ogólnej tolerancji. Z lasami Huwnik graniczą obszerne lasy rządowe. W ówczesnej kamerze leśniczymi bywali Niemcy, wychowywani w innych wyobrażeniach. Otóż jeden z tych Panów w towarzystwie dwóch gajowych, spróbował raz oponować wkroczeniu p. Józefa w granice kamery. Gdy uprzejme przedstawienia huwnickich myśliwych obiły się by groch o ścianę o służbistość personalu rządowego, rozciął p. Józef ten węzeł gordyjski w swój sposób, zabierając opornego leśniczego i jego dwóch gajowych ze sobą. — Przepędził ich przez trzy dni po lasach i górach, poczem pozwolił im wrócić do domu, obdarzywszy ich suto na drogę. Sprawa narobiła hałasu, lecz Huwniki miały zanadto silne plecy we Lwowie i Wiedniu, by im cokolwiek mogło grozić. Sprawę ubito, a gorliwego leśniczego przeniesiono gdzieś w dalekie strony.

Nieobcemi były p. Józefowi i fantastyczne pomysły.



JAROSŁAW HUBÁLEK

GENERAŁ

sylwetka karpackiego dzika

Autoryzowany przekład z czeskiego WŁ. KARNKOWSKIEGO

Na leśnym porębie, bujnemi trawami porosłym, w piękny wieczór czerwcowy, brzęczą spóźnione pszczółki, spiesznie przeglądając kwiat po kwiecie. Komary tną niemiłosiernie, fantastyczne cienie kładą się po ziemi. Z odległej wioski dochodzi głos dzwonu, zwiastun nieomylny słoty. W tem w górnym końcu porębu ożyły trawy, zakolebały się i na otwartą haliznę wyskoczył młody „marczak". Stanął słupka i słucha. A nad nim łamaną linją, cicho śmignął pierwszy nietoperz...

Sam nie wiem, czemu tu siedzę z trójlufkiem na kolanach. Boć świętokradztwem byłby strzał w tej ciszy uroczystej. Co mnie tu trzyma? Chyba czar natury i to powolne konanie dnia. Bo słusznie twierdzą uczeni i lekarze, że śmierć jest takiem samem pięknem, jak narodziny. I to stanowi niezmierną pociechę dla nas żyjących.

Z zadumy wyrwał mnie szmer w przyległej gęstwinie. Zajączek, dotąd spokojnie się pasący, w kilku skokach ginie mi z oczu. Czyżby przestraszył się czego? Księżyc już wzeszedł, i cały porąb tonie w srebrnej poświacie. Szmer z prawej strony powtarza się wyraźniej. O ile później od młodego zająca pochwyciło go moje zdegenerowane ucho! Zbliża się stale. Już rozróżniam wyraźnie drobienie dziesiątek maleńkich raciczek, obok ciężkich stąpań matki. To rodzina dzicza — idąca na paszę. Niechaj mnie teraz komary zakłują, nie poruszę nawet brwiami! Łotry zaś umieją wyzyskać sytuację. Jeden siedzi mi pod lewem okiem. Czuję, jak się rozpiera nóżkami i pije z chciwością. Drugi głupszy widać, usadowił się na szyi. Tego, skurczywszy kark, spędzę kołnierzem. Trzeci, najmądrzejszy — siedzi mi na uchu — pewny, że go nie spędzę. Najpowolniejszym bowiem ruchem ręki, mógłbym się pozbawić uroczego widowiska, które lada chwila się rozpocznie. Bo już słyszę głosy małych warchlaczków i głębokie rechtanie lochy. Gąszcz je kryje jeszcze. Locha namyśla się. Lekkomyślnie na wolną przestrzeń nie wyjdzie za nic... Nie dba o wilka, bo ten nie odważy się pochwycić warchlaka będącego pod opieką matki — ale nuż tam człowiek stoi? Ten nie oszczędzi niczego, skoro i dzika wyjął z pod ochrony prawa, jako twór jemu szkodliwy. Trzeba się zatem mieć na baczności, tembardziej, że już kilka razy odwiedzała ten porąb z dziećmi. Tu i ówdzie — przewrócona darnina — może ją zdradzić. I ten księżyc nieznośny... Więc jeszcze stoi i namyśla się, czy nie lepiej, jak wilk, albo lis, gęstwę obejść i z drugiej strony wyhynąć na porąb, gdy pod przewodem najstarszego brata, cała gromadka wysypała się już na miejsce otwarte.

Czarowny obrazek leśny! Na skraju lasu stara locha z sześciorgiem warchlątek! Stoję ledwie o dwadzieściapięć kroków. Wpadł mi w oko najtęższy z gromadki — zapewne knureczek, wnosząc z ruchów i zachowania się. Podskakiwał figlarnie około gderliwej matki i pierwszy wtykał ryjek w bruzdę, jaką dla dzieci wyryła. W ten sposób zrobiłem pierwszą znajomość z późniejszym groźnym odyńcem „Generałem", nazwanym tak przez straż leśną i tych, co mieli sposobność, lub nieszczęście z nim się spotkać.

II.

Dzik nie jest pustelnikiem, któremu wystarczają do życia same korzonki leśne. Potrzeba mu strawy posilniejszej, a tę stanowią ziemniaki i kukurydza na góralskich poletkach. Rozmnaża się bardzo licznie, nie ma drapieżnych prześladowców, jak sarna i jeleń, co tedy dziwnego, że mało które poletko przetrwa do sprzętu nietknięte? Władze leśne zamierzały utrzymać cichą ochronę dzika dopóty, dopókiby wyniki polowań nie wyrównały ich kosztom; to się jednak nie udało wobec masowych skarg, narzekań i pogróżek rolników. Przyszedł z góry rozkaz ochrony ich przez odstrzał dzików z zasiadki. Posypały się tedy o pełni księżyca loftki leśników i gajowych na warchlaki, podczas, gdy lochy bezpiecznie uchodziły. W ten sposób straciła nasza locha troje dzieci w ziemniakach, jedno w kukurydzy. Chodziła już tylko z knurkiem i świnką, w dodatku postrzeloną. Jeden śrut tkwił jej w zadniej pieczonce na samej kości. Kulała stale i wychudła jak szkielet. Strzał z litości, przeciął pasmo jej cierpienia. Locha została sama z jedynakiem i wyprowadziła go daleko z niegościnnego rewiru, gdzie mokre półbagienne łąki i gęstwy leśne zapewniały obfitości pożywienia, spokój i bezpieczeństwo. Znalazło się nawet parę miejsc obsianych owsem. Górale niekiedy palą gałęzie i odpadki budulcu, rozsypują popiół po porębie i obsiewają. Prymitywne ale odżywcze gnoiwo, jakiem jest popiół, znakomicie działa na porost owsa, niemal czarnego od nadmiaru chlorofilu. Wyrasta on niekiedy na metr wysokości, a dzięki wysokiemu położeniu, dojrzewa bardzo późno. Dziki, sarny i jelenie, wiedzą dobrze o tych pólkach i odwiedzają je bardzo chętnie. Naszemu dziczkowi owies bardzo smakował — to też rósł on i mężniał w oczach. Już zmienił dziecinną szatkę w podłużne czarne prążki na żółtawo-brunatną z ciemniejszem podszyciem. Szybko uczył się tajników „prawa leśnego". Na skórze swego rodzeństwa przekonał się, kim jest człowiek, i jak należy się go wystrzegać, przyczem niewyczerpalną skarbnicą rad i wskazówek była dlań matka, wiekowa locha, która przetrwała i wojnę światową, i nierównie gorszy dla wszelkiego zwierza — okres rewolucji i bezrządu, gdzie z zardzewiałych manlicherów wytępiono prawie ośmdziesiąt procent zwierzostanu. Miała więc doświadczenia dość i dla siebie i dla potomstwa, które, zapomniane już przez nią, licznie włóczyło się po okolicznych lasach. Obecnie jej jedynakiem i pieszczochem był mały knurek. Kochała go bardzo, co nie przeszkadzało jej, rypnąć go często ryjem za karę. Przewinę stanowiło najczęściej lekceważenie niebezpieczeństwa i lekkomyślność. Nie chciał zro-

zumieć, że potrzeba długo i starannie wietrzyć, nim się wyjdzie na odkryte miejsce, że wiatr przynosi z sobą obce zapachy różnych przedmiotów i zwierząt. Koń ma innych zapach, niż krowa, rogacz inny niż jeleń, a zając inny niż lis. I nie wolno tu się pomylić! Ładnieby wyglądało, gdybyś np. woń rusińskiej guni, przepojonej potem i dymem, wziął za woń bydlęcia albo owcy! Pouczała go matka gruntownie i systematycznie. Przyprowadzała na ślad różnych ludzi i zwierząt i badała jego spryt. To też węch, dzięki ciągłemu ćwiczeniu, stawał się co dzień subtelniejszym i wkrótce nie ustępował matczynemu.

Późniejsze ćwiczenia były bardziej skomplikowane, polegające na analizowaniu. Zapachy bywają pojedyńcze i złożone — np. buk ma podwójny: zdrowy i wypróchniały. Koń nawet potrójny: własny, żelaza podków i uprzęży. A są istoty wydzielające woń złożoną z pięciu i sześciu pierwiastków. Drwal, jadący do lasu po drzewo, wydziela równocześnie zapach własnego ciała, ubrania, fajki, narzędzi i obory albo stajni. Znajdziesz tam i molekuły woni żony, psa i ziemniaków — a nad wszystkiem góruje nader często ostra woń gorzałki. Dobry nos powinien przeprowadzić niemal procentową analizę i z niej wyciągać wnioski praktyczne. Tutaj dochodzą dziki do mistrzostwa. Oko mają tak prawie dobre jak człowiek, a gorsze od innego zwierza leśnego. Słuch za to — niezrównany — przy niepomyślnym kierunku wiatru znakomicie uzupełnia węch. Czułym niezmiernie jest dotyk, skoncentrowany w ryju i smak. Boże miły! ile to w lesie jest posmaków — a każdy inny! Każdy korzonek inaczej smakuje. Buczyna robaczliwa inaczej, niż zdrowa, żołądź inaczej, niż kasztan, dziki czosnek inaczej niż bulwa lub korzeń czarnej topoli... (C. d. n.)

ADAM RZEWUSKI

Zimą na cietrzewie z podjazdu

I.

W zaśnieżone, nie bardzo mroźne ranki, lubią cietrzewie „wylatywać" stadami i „czepiać" się brzeźniaków i olszyn w poszukiwaniu smakowitych pączków, tak zwanych „bronek" po polsku. — Zresztą tylko mogą odbywać się tego rodzaju łowy na Wołyniu. — W kulturalnych dzielnicach kraju jest to prawnie wzbronione i jak najsłuszniej zresztą!... Obfitość rodu „tetrixów" może tylko usprawiedliwić tego rodzaju polowania — oraz ogromne przestrzenie ich rozsiedlenia się. Sądzę jednak, że dla najmilszych mych Czytelników przodującej we wszystkiem połaci naszej Ojczyzny, ciekawem też będzie zapoznać się z niesamowitą rozkoszą podobnych cietrzewich perogrynacyj... Zaiste, co za śliczny widok, gdy wśród srebrzystej okiści, jak węgiel czarne postacie „teteruków" skromnych cieciorek, zoczy nareszcie szczęśliwy Nemrod przygodni!... Można do nich wtedy na kroków 30—40 „podjechawszy", strącić parę nawet dubletem!

Odlecą, na jakie pół kilometra, jeśli nie są rozpłoszone i... znowu się „rozsiedzą" na odpowiednie drzewa. Około godziny dziesiątej ustaje nieco ich ruch „żerowy" — lecz, pod wieczór znowu spieszą na „wylot". Można więc dowolnie uganiać się nie za Loreley legend germańskich, nie za snem złotym młodości, lecz za poczciwym polskim teterukiem tylko!...

To stanowczo daleko lepiej i zdrowiej, chociaż też nieraz djabelnie trudnem bywa!... W międzyczasie, gdy czarni rycerze na ziemię „spadają" czeka na nie tam,

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI

UTRACONE SZCZĘŚCIE

(Ciąg dalszy)

Wkrótce rozmowa zeszła na tory bardziej aktualne. Na pytanie Michała o zdrowie młodego dziedzica, Różogórski odpowiedział:

E, nic mu się nie stało. Szczęśliwie uniknął wypadku. Poparzył się tylko nieznacznie, ale nie pozostawi to żadnych następstw po sobie. Gorzej jest z panem. Pan widzę pokiereszowany jest dobrze, ale mam nadzieję, że i panu nic nie będzie. Tylko pałac spłonął doszczętnie. Ale, ale, panie Michale rzeczy, które pan uratował należą bezsprzecznie do niego, tembardziej, że są to wszystko pamiątki rodzinne pana. Kiedy mogę je panu przysłać.

Rzeczy, które wyratowałem — rzekł Michał, należą do pana, nie do mnie, ale jeśli pan pozwoli zabrać, to wezmę tylko portrety rodzinne.

Długo tak jeszcze rozmawiali, aż wreszcie Różogórski, pożegnawszy się czule z Michałem, odjechał, obiecawszy przybyć nazajutrz.

Nie zdążyło przebrzmieć echo powozu Różogórskiego, gdy przed leśniczówkę zajechał koczobrek, zaprzężony w parę rasowych arabów, prowadzonych umiejętnie przez panią Górskę.

Kogoż tam znowu licho niesie? — mruknął Michał.

Aa, ładnie mnie pan wita! — rzekła Sylwja, która słyszała słowa Michała. Przyjechałam do pana, dowiedzieć się jak jego zdrowie, wszyscy bowiem są zaniepokojeni o pana, a tu widzę, że pan, miast wdzięcznym być za moją troskliwość, tak czułemi słowami mnie wita.

Nie spodziewał się Michał wizyty Sylwji, to też przez chwilę nie mógł znaleźć słów i milczał.

A widzi pan, że o panu myślę. Pan, aż oniemiał ze zdziwienia, gdy mnie tu zobaczył. A ja tu przybyłam, bo coś mi mówiło, by pana zobaczyć.

Zalotnie spojrzała na niego i zrzuciwszy z siebie letni płaszcz, podeszła do niego i podawszy mu obie dłonie, bez namysłu siadła na krawędzi łóżka.

Jak pan tu przytulnie mieszka! Całe życie chciałabym spędzić w tak miłym zakątku...

bogato zastawiona „karta" w postaci zmarzniętych, słodkich żórawin, które przez nich z pod śniegu „wygrzebują się" — gwoli rozkoszy cietrzewich apetytów! Biedy głodowej ród ich sławetny — stanowczo nie zaznaje nigdy. Z tych samych przyczyn głuszec i jarząbki, wszystkie „tetrixy", krótko mówiąc. Dlatego też w półroczu zimowem nie można nigdy spotkać osobnika tych gatunków „wynędzniałego" z powodu braku pożywienia! Nie masz wśród nich na lekarstwo — żadnych „głodomorów" — dzięki Bogu!... Do nich to, dadzą się zastosować słowa: „Gdy nastanie pora i goły las sie staje — Święty Hubert z lasu, cały obiad daje..." A o zmroku, gdy śnieg miękki i głęboki, „zakopuje" się nieborak w puchy puszyste!.. I jak mu tam ciepło i dobrze!... Często, coprawda go ryś zdradziecki, „lisowin" chytry nieco poturbują — no i myśliwy nieraz, gdy na podobne „asilium" natrafi!...

Z tych to „jamek" bądź to w pastelowych oświetleniach zorzy wieczornej lub w poświacie księżyca, nie trudnym bywa strzał do „elfów" lasu, spokojem nocy zaczarowanego.

II.

Obok głębokich poważnych emocyj myśliwskich, z których tak uroczy dar niesie nam zazwyczaj okres zimowy w postaci łowów na grubego zwierza, dzika, odyńca, krwiożerczego wilka „polskiego tygrysa" rysia, ba! — niedźwiedzia dla wybrańców losu, a do tak niedawna brodatego łosia — jest jeszcze cały szereg skromniejszych źródeł radości dla wiernej „duszy myśliwskiej!..." Zimowy podjazd saneczkami do czarnych wiosny trubadurów niezawodnie do nich należy! Zwykły w tych razach „socjusz"-gajowy polesko-wołyński z nędzną bródką o wyblakłych, poczciwych oczach z pod zimowej „papachy" czy „kapuza" wyglądających, całą swą sylwetką do pniaka olchowego podobny — jakżeż jest rzetelnie miłym dla spragnionego „prymitywności" myśliwca!... Trzeba odczuć i zaobserwować tę moc wielką chytrości, którą się posługuje „gnom" leśny, gwoli możliwości „podwozu" łowca do czujnego ptaka — skrę triumfu w oczach kiedy się uda „skomplikowana", — szczególnie z nowicjuszem impreza!.. Podziwia się wtedy, głęboką jego erudycję i znajomość puszczy i jej mieszkańców!.. Obcowanie z podobnemi dziećmi Natury stanowi radość nie małą — dla nas biednych ludzi z „miasta złego". — Jakież to oderwanie się od neurastenicznych warunków życia współczesnego!.. Błogosławionemi niech będą chwile podobne, do których się tak często później — w czarnych godzinach powraca!

Hart nowy i tężyznę Praojców wlewa w jestestwo całe, sama możliwość powrotu do nastrojów podobnych — na świętym łonie Matki Przyrody!

III.

„Panoczku, a panoczku! — o teteruki tam na berezi!" — z radością „wyksztusza" wiozący myśliwca — leśnik-pniak!.. Istotnie, kilkanaście wspaniałych cietrzewi wynurza się na drzewach wysokich, rozsypanych wśród błot zamarzniętych. Majaczą dobitnie czarne ich sylwetki na tle otaczającej bieli śniegowej!.. Podjeżdża się „lawirując", przenigdy broń Boże, w prostym kierunku i niby to „od niechcenia" ot! tak sobie przygodna furmanka z drwami lub sianem z łąk.

Nieznacznie, stopniowo się zbliża do żerujących ptaków. Już tylko kroków z pięćdziesiąt pozostało!.. Zaniepokojone kręcą główkami, trwożnie się przypatrując!..

Niech pani tak nie mówi. Teraz tu dobrze, ale gdy przyjdzie zima, gdy wyć zaczną wichry, gdy wilki pod oknami urządzą serenadę, wtedy nie wiem, czy byłoby pani tu przyjemnie. Ja to lubię, ale co innego pani.

Sylwja podeszła do stojącego w kącie sypialni pianina, uderzywszy jeden akord, przerwała i zapytała:

Czyż pan jest aż tak wielkim miłośnikiem muzyki, że w sypialni musi mieć pianino?

Muzykę kocham — odparł, ale nie chcę, by na tej jedynej pamiątce po mojej matce, grali wszyscy, którzy wejdą do salonu, więc wstawiłem je tutaj.

Czy nie chce pan też, bym i ja zagrała?

A pani, co innego. Pani jest jedna, której muzyki bym słuchał. Mam wrażenie, że pani potrafi zagrać...

A więc zagram panu!

I polały się bujną strugą w półmrok pokoju tony symfonji „patetycznej" Czajkowskiego. Z początku nieśmiało zaczęły się żalić struny klawikordu, potem silniej zahuczały namiętne dźwięki i znów przeszły w jękliwy ton płaczu. Lecz wnet zagrzmiały silne akordy. Zdawało się, że buchnie wulkan namiętności, że spalą się dwie istoty w samopoddaniu się i znów muzyka przeszła w ton jakiś błagalny, półmodlitewny.

Ucichły tony.

Sylwja siedziała z oczyma zamkniętemi, w tył odchyloną głową, rozsnuwając przed sobą przebrzmiałe dźwięki.

Po długiej chwili milczenia odezwał się Michał, prosząc o zagranie czegoś jeszcze.

Sylwja wzięła z miejsca potężny akord i znów w ciszę pokoju huknęły tony arji Torreadora z „Carmen".

Teraz dopiero zrozumiał Michał grę Sylwji. Zrozumiał teraz, co się dzieje w sercu pani Górskiej.

Przez przymknięte okno wdzierał się do pokoju poszum wiatru, niebo usiane już gwiazdami, zdawało się być jakby z czarnej zastygłej lawy wulkanicznej, wśród której tu i ówdzie błyszczały złote ćwieki gwiazd.

Przez chwilę siedzieli jeszcze, otuleni urokiem nocy, marzyli pod wpływem tonów muzyki, Sylwja i Michał.

Po wyjeździe Sylwji, Michał zmęczony nadmiarem refleksji i wrażeń, lekko osunął się na poduszki i kiedy zamknął powieki, przed oczyma jego stanęła postać Sylwji. Jej wpółotwarte usta kusiły, kusiły tak mocno, że

„Panoczku strelajte! — zaraz zletiat'!" — Momentalne zatrzymanie sanek przez doświadczonego woźnicę, suche dwa strzały w mroźnem powietrzu!.. Jest! — jeden, opisuje swą lirą śliczną parabolę przy spadnięciu — drugi też śrutem „dogoniony" wali się miękko w białe puchy!.. Gracko!.. — brawo, brawissimo!.. „Nu i fain, że rusznica u panoczka?!... sława Bohu!" Triumfalne podjęcie, wspaniałych czerwono-brewych kogutów, krótkie wypalenie papierosa, pogawędka z przygodnym Halimonem czy Wasylem i hajda! dalej! — do stada nowego!.. Tak to w podobnej „włóczędze" upływa ranek i wieczór cały! Nieraz też zdarza się, że podjazdowe saneczki raptem na korcz zdradziecki „najechawszy" — w górę strzelają! — i oto po chwili razem z Wasylem leży i myśliwy cały upudrowany pyłem śniegowym!...

Potulne konisko staje, jak wryte — ze stoicyzmem oczekując finału całej przygody!... „Oto okazja!? — oto okazja panoczku! — wse buwaje na switi — treba, szczob peniok jak raz natrafytsia" — uspokaja, sam do pnia podobny winowajca katastrofy!.. Tymczasem — chwile zamętu!... i śmiech szczerego wybuch, jakiego nie masz i mieć nie będziesz nigdy, w żadnych salonach „des plus chics" — świata całego!.. Owszem, wyrusza się naprzód jeszcze z większą ochotą po tem małem „intermedjum". Zagłębia się w „wojsły" zapadłe — „wynurzając się" na obszary łąk „kaczkowatych" siedliska „błotnych arystokratów" opasłych dubeltów i młodych letnich „murzynów" cietrzewich!.. Niemało ich od celnych strzałów w sezonie, jak gruszek dojrzałych, padło!... Później horyzonty te nagle nikną — zlewając się w otchłań mgły białej, albo w wysokopienną leśną drągowinę się wjedzie! I tak to dzień krótki zimowy rozkosznie upływa!.. Biedne m i e j s k i e płuca „delektują się" przeczystym ozonem zimnego powietrza!.. Dusza i serce rzetelnie odpoczywają po wszystkich przeżytych „perfidjach" od kontaktu z współczesną „bracią" — „vulgo" królami Przyrody zwanymi!..

IV.

Wieczór na serjo zapada, sierp młodego księżyca fantastycznie oświeca lodowatą biel dalekich horyzontów i lasów uśpionych! W tem!.. w srebrzystych otchłaniach, jakby żywy fragment przecudnych obrazów Chełmońskiego, ukazuje się nagle stadko kuropatw, na wpół zmarzniętych, żerujących obok kanału. „Strelajte, panoczku! — z parę — z kupy wybić można!" — „A pfe! — czy to po myśliwsku?!" — „Nu, nu i wytrzymanie że u panoczka — u nas wsi strelajut!.." W cichościach ogromnych majaczą sylwety chat wsi, w której to ma się nocleg. Profilują się, jakby „leżąc na obłokach" — na tle czarnych chmur śniegowych — nędzne kadłuby „kurnych" chałup a takich drogich, takich kochanych, takich bardzo, bardzo swoich!.. Podjeżdża się do przygodnego „homu"... Czeka na cię tam Czytelniku miły odpoczynek bardzo zasłużony, czeka ciepło od „burujących" szczap smolistych i talerz uczciwego barszczu przez miejscową „babę" ugotowany tak! — jak żaden kuchmistrz w żadnym Paryżu nigdy nie potrafi!.. A jutro?.. nowe trudy z jednakim, a może gorszym od dzisiejszego rerezultatem, bagatela!.. Upolowało się aż cztery koguty! Podczas snu, mroźna noc poleska usypiać będzie ręką świętą niby matczyną i koić mary ludzkich zgryzot!... I na duszy zrobi się tak błogo! — tak miło! — tak słodko! Szczęśliw też, kto na stary Poleś zaśnieżony — mrozem i okiścią zaczarowany, choć na dni parę się „wyrwi". Upaja pobyt tam, jak wino szlachetne, nowych sił do

---

Michał zapragnął posiadać te usta i jeden choćby tylko złożyć na nich pocałunek.

*

Wrzesień już wokoło roztaczał swe jesienne blaski.

Pola, ogołocone ze zbóż, ciągnęły się dalekiemi szmatami świeżo przeoranej ziemi, gdzieniegdzie tylko złociła się jeszcze połać rżyska. Na zielonej murawie traw bielił się tu i ówdzie rozłożony len.

Drzewa, na których żółknąć zaczęły już liście, dzwoniły jakąś pieśń pożegnalną, pełną tkliwego sentymentu.

Liczne klucze i stada ptaków kierowały swój lot na południe, ku ciepłym krajom.

Las też powoli zmieniał swą szatę.

Słońce już wysoko świeciło, kiedy na polanie leśnej ukazało się dwóch myśliwych z kręcącemi się obok nich psami.

Byli to: Różogórski i Michał.

Strzelby przewieszone przez ramię świadczyły, że wybrali się na polowanie.

Michał od paru dni był już zupełnie zdrów.

Dziś wybrał się z Różogórskim na cietrzewie, których moc było w zagajnikach i na wrzosowiskach. Liczne jagody pijanic ściągały tu rzesze czarnopiórych rycerzy, trubadurów miłości. Nieraz można tu było spotkać kozła i lisa, żerowały tu stada kuropatw.

Ano, pójdziemy — odezwał się Michał.

Cicho było w lesie. Czasem tylko lekki wietrzyk poruszył wierzchołkami drzew. Ptaki milczały, niczem nie zdradzając swej obecności wśród konarów.

Czy zaczyna pan rozumieć przyrodę? — zagadnął po chwili milczenia Michał, czy ciągle jeszcze jest panu obcą?

Obcą — odrzekł Różogórski — zaczyna mi już nie być, ale jej jeszcze nie rozumiem. Widzi pan, ja wychowany w mieście, wychowany wśród mnóstwa nagromadzonych interesów handlowych, nie mogę odrazu zmienić swego trybu życia. Przedtem nie zwracałem uwagi na rzeczy naprawdę piękne, przejawy natury, które mnie otaczają i nie widziałem tego piękna. Dziś zaczynam badać wszystko, co mnie otacza, zaczynam rozumieć, że człowiek, który ukochał puszczę, może w niej znaleźć spokój i ukojenie.

Bardzo się cieszę, że to co w pana przez te parę dni

walki życiowej nadając! Zazdrości godzien jest wybraniec losu, na poleskie tereny się udający — i to, w każdej roku porze!.. Ramiona, korpus, krew się odradza i nowy hart ducha w duszę myśliwską wstępuje!... za które korne dzięki Św. Hubertowi należne są! zawsze i wszędzie!...



ALEKSANDER PRZEDRZYMIRSKI

W sprawie słownika polskich zwierząt ssących i ptaków

W kwietniowym zeszycie „Łowca" porusza Pan Profesor Domaniewski bardzo aktualną potrzebę ustalenia nomenklatury „polskich zwierząt łownych", co do których oznaczania panuje niesłychana dowolność. Przyklaskując gorąco temu apelowi znakomitego naszego przyrodnika, pragnąłbym, ażeby przyszły ten słownik obejmował nietylko nazwy naszych zwierząt i ptaków „łownych" lecz wogóle wszystkich zamieszkujących ziemie polskie. Nie myślę tu o gadach, rybach i płazach, ani też o owadach, robakach i niższych ustrojach, gdyż objęcie słownikiem i tych działów, rozszerzyłoby niepomiernie to dzieło, które powinno być popularnem a nie przeznaczonem dla specjalistów, którzy dziś i bez słownika są dostatecznie zorjentowani w działach, którym się poświęcają. — Słownik powinien służyć myśliwym i tym wszystkim, którzy stykają się z przyrodą i obserwują jej przejawy, jako dyletanci i sympatycy a często nie mogą właściwie oznaczyć ptaka trzymanego w dłoni, lub też dają mu nazwy fantastyczne.

Szanowny Autor wymienia w Swoich „Uwagach o słowniku" cały szereg poważnych dzieł i autorów, którymi powinni się kierować przyszli redaktorowie słownika", przemilcza jednak nieznany zapewne Sobie a rzadki już dziś bardzo „Katalog Muzeum Imienia Dzieduszyckich" wydany we Lwowie w r. 1880-ym, przez Twórcę Muzeum Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego. — Katalog ten jest już sam przez siebie gotowym słownikiem ornitologicznym, obejmującym nazwy polskie, łacińskie, francuskie i niemieckie, wszystkich prawie ptaków zamieszkujących cały dawny obszar ziem polskich. Przy każdym ptaku umieszcza po kilka a nawet po kilkanaście nazw z powołaniem się na uczonych, którzy tych nazw używali. Tam gdzie takiego powołania brakuje, oznacza to, że dotycząca nazwa pochodzi od samego wydawcy, który obok Wodzickiego zajmuje w polskiej wiedzy ornitologicznej równorzędne miejsce.

Uważam sobie za obowiązek przypomnieć zapomniane to dzieło wszystkim tym, którzy nad nowym słownikiem pracować zamierzają. Egzemplarz tego katalogu, wręczył mi w r. 1884-tym Sam Twórca Muzeum, który zauważywszy moją częstą bytność w Muzeum i zainteresowanie się ornitologją, chciał w ten sposób utwierdzić

---

wpoiłem, zaczyna kiełkować. Ot, niech pan przypatrzy się tej pajęczynie. Niech pan przypatrzy się tej misternie zrobionej siatce i zastanowi się tylko, jak wielkiej pracy musiał użyć pająk, tworząc coś podobnego. Niech pan zwróci uwagę, jak to zmyślne stworzonko, kręcąc się po tym labiryncie nitek, nigdy ich nie popląta. To jest praca twórcza jednego tylko żyjątka w wszechświecie przyrody. A teraz niech pan zastanowi się nad estetycznem obramowaniem, jakie tej pracy daje natura. Zaczepiona o dwie gałązki jedliny, zdaje się wisieć pajęczyna w powietrzu, a teraz pada rosa i krople tej rosy osiadając na jej nitkach, tworzą z niej tkaninę subtelną, mieniącą się tęczowemi barwami w promieniach słońca.

Po dłuższej chwili milczenia odezwał się Różogórski:

Ależ z pana profesor, potrafiący w najdrobniejszej rzeczy ukazać piękno. Ot taka pajęczyna! Gdyby mi pan na nią nie zwrócił uwagi, nie spostrzegłbym tego piękna.

Drobnostka, a jednak jest to nauka na przyszłość, by na wszystko zwracać uwagę, co nas wokoło otacza by uczynić swą duszę czułą na każde wrażenie, choćby najpospolitsze.

Była to jedna z rozmów, któremi Michał chciał otworzyć duszę człowieka, zaskorupionego w troskach szarego, codziennego życia, chciał uczynić ją lepszą, bardziej wrażliwą na zjawiska przyrody.

A kiedy zstąpili na wrzosowiska, psy, czując tu pole do popisu, raźno skoczyły naprzód.

Przeszli jednak spory szmat zagajnika, nic nie napotkawszy.

Zniechęcony już trochę bezowocnem poszukiwaniem Różogórski, chciał chwilę odpocząć, ale nie dający mu spokoju Michał, naglił.

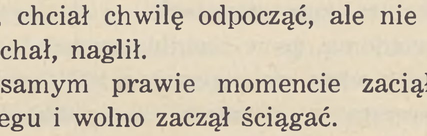
W tym samym prawie momencie zaciął się Azor w swym biegu i wolno zaczął ściągać.

Ożywiony tym widokiem Różogórski, zaczął się zbliżać do psa, który teraz w nieruchomej pozycji, wskazywał nosem krzak jałowcu.

Pies trwał ciągle w bezruchu.

Lecz w tej chwili ożył krzak, zafurkotały skrzydła i podniósł się kogut-cietrzew.

(C. d. n.)



mnie w zamiłowaniu, które dla Niego Samego było osią i celem życia. Książkę tę przechowuję do dziś dnia z wielkim pietyzmem dla Ofiarodawcy.

Pół wieku minęło już od ukazania się katalogu Muzeum Dzieduszyckich. — Od tego czasu nie ukazało się nowe jego wydanie; byłoby ze wszechmiar wskazanem, ażeby dzisiejszy Zarząd Muzeum, katalog ten przejrzał i uzupełniwszy go stosownie do dzisiejszego stanu Muzeum i dzisiejszych zdobyczy wiedzy przyrodniczej, wydał go ponownie ku pożytkowi polskiej wiedzy i ku ujawnieniu skarbów przyrodniczych, objętych murami Muzeum Imienia Dzieduszyckich.



GEN. WALERY MARYAŃSKI

Amunicja krajowa

(Dokończenie)

POSTULATY:

Postulaty polskiego świata myśliwskiego i strzeleckiego pod adresem krajowych wytwórni amunicji, idą w 2 kierunkach:

a) z n i ż e n i e wygórowanych i niczem nieusprawiedliwionych cen,

b) fabrykacji amunicji k u l o w e j dla broni palnej długiej i krótkiej.

Ad a).

Zupełnie zrozumiałą rzeczą jest, że każdą fabrykę zakłada się poto, aby swym akcjonarjuszom niosła jak największe zyski i jak najrychlej włożony, czy pożyczony na ten cel kapitał zamortyzowała — ale jest rzeczą powszechnie wiadomą, że w handlu, sprzedając towar nie ulegający ani modzie, ani zepsuciu z 10% zysku, zyskuje się tyle, że wystarcza na amortyzację wkładów oraz na przyzwoite oprocentowanie włożonego kapitału; nie należy zapominać, że dane przedsiębiorstwo handlowe w ciągu roku włożonym kapitałem k i l k a k r o t n i e obraca — nb. o ile ceny nazbyt wyśrubowane nie odstraszą nabywców i nie zwrócą ich do innych tańszych źródeł.

Tymczasem obecnie strzał, czy to śrutem, czy kulą jest tak drogi, że tylko wyjątkowo finansowo dobrze sytuowani, mogą sobie pozwolić np. na trening kilkuset strzałami do rzutków lub do tarczy.

Faktem jest, że dzisiaj straż łowiecka zupełnie nie tępi bronią palną srok, wron, psów, kotów, jastrzębi i innych szkodników — bo nikogo nie stać na tak wysokie „strzałowe", któreby oprócz nagrody zawierało i odszkodowanie na użyty nabój; musiałoby ono zwyż 1 zł. wynosić, gdyby każdy strzał był skuteczny.

Znamienny fakt opowiadał mi właściciel jednego z naszych największych składów broni i amunicji we Lwowie, który także między innemi prowadzi firmowe naboje; mianowicie chcąc swoje firmowe naboje nie sprowadzać jak dotąd z za granicy i używać krajowych wyrobów — zwrócił się w sprawie łusek do krajowych wytwórni. Cena, którą mu te ostatnie postawiły — była tak wysoka, że daleko lepiej mu się kalkulowało zamówić je za granicą, opłacić wygórowane cło i porto, przejść wszystkie trudności celne, niż używać krajowych łusek.

Obserwujemy coraz częściej fakt, że myśliwi, którym się dawniej ani śniło bawić w przerabianie patronów, dzisiaj pilnie to czynią; niedziw! Wszak zyskują na pojedyńczym strzale śrutowym 16 groszy!

Rząd, będący jednym z głównych akcjonarjuszów krajowych fabryk amunicji, chcąc poprzeć — co jest rzeczą zupełnie słuszną — wyrób i zbyt krajowej amunicji, podniósł w ostatnich czasach znowu cło od zagranicznej amunicji. Na to zareagowały nasze wytwórnie w ten sposób, że podniosły cenę amunicji krajowej bez żadnego powodu tak, że ładunek śrutowy z 37 groszy, podskoczył na 44, t. j. tyle, ile kosztuje n a j d r o ż s z y zagraniczny ładunek z cłem i portem! Dotyczący okólnik „Pocisku" do kupców, polecający im nie sprzedawać gotowych nabojów po niższej cenie, czytałem onegdaj w jednym sklepie.

Dlaczego ta podwyżka? Wszak ani wynagrodzenie robotnika, ani surowiec nie poszły tak dalece (t. j. o 19%) w górę.

Tego rodzaju taktyka zemści się najbardziej na samych krajowych fabrykach, bo rząd może obłożyć jeszcze wyższemi cłami obcą amunicję — to jednak nie zdoła zamknąć jej importu, jak długo będzie istniała „zielona granica" i przemytnictwo.

A ponieważ jeszcze żadna straż celna w świecie nie zdołała zamknąć hermetycznie granic — patrz fiasco amerykańskiej prohibicji — a **przemysł tembardziej kwitnie, im lepszy i lukratywniejszy interes jest do zrobienia** — przeto podwyższanie cen krajowej amunicji w nieskończoność spowoduje tylko masowe jej przemycanie z zagranicy.

Trudno wymagać przy dzisiejszych ciężkich stosunkach finansowych, aby ten i ów — a takich nazwa „miljon" — nie kupował od jakiegoś pokątnego handlarza wcale dobrych nabojów, gdy mu je ofiaruje o 10—12 gr. na sztuce taniej, niż krajowe wytwórnie.

Jaki będzie rezultat tego?

Niewątpliwie ten, że krajowa amunicja, (która tylu zwolenników sobie w tak krótkim czasie zyskać potrafiła) — coraz mniejszym popytem cieszyć się będzie —

i w końcu mimo całej protekcji sfer miarodajnych, bankructwem się skończy.

A przecież ta gałąź przemysłu zajmuje w budżecie krajowym bardzo poważną pozycję! Wszak rok rocznie kilkadziesiąt miljonów nabojów myśliwi i strzelcy w Polsce spotrzebowują — nie mówiąc już o tem, że gałąź ta jest dla przemysłu wojennego niezmiernie ważną, szkoląc kadry fachowych robotników w pokoju i ułatwiając w razie wojny puszczenie w ruch fabryk amunicji.

Nie należy zapominać o tem, że stoimy przed zawarciem traktatu handlowego z Niemcami, owymi największymi wytwórcami amunicji na świecie, którzy nie omieszkają zabezpieczyć sobie legalny import jej do Polski, a tej konkurencji nie wytrzyma wówczas żadna krajowa fabryka — zachowując dzisiejsze ceny.

A więc długiej mowy krótki sens — trzeba ceny amunicji krajowej dostosować do realnych cen zagranicy — choćby przyszło rozmaitym panom z rad nadzorczych, dyrektorom i t. p., poobcinać pobory i remuneracje, bo inaczej wytwórnie krajowe rychło swój żywot zakończą.

Ad b).

Jak dotąd wyrabia się u nas tylko amunicję śrutową i małokalibrową (kal. 22).

Całą zaś myśliwską amunicję kulową, rewolwerową i pistoletową, sprowadza się z zagranicy. Cena jej jest horendalnie wysoka — np. jeden nabój kulowy do 6,5 mm Schönauera — nawiasem mówiąc w Niemczech wykonany i w angielskiem opakowaniu do nas sprowadzony — kosztuje 1 zł. Zaś na miejscu we Wiedniu, 40 gr.

Analogicznie ma się sprawa z amunicją rewolwerową i pistoletową.

Nabój do browninga 7,65 mm kosztuje u nas 22 groszy, zaś we fabryce w Hirtenberg lub we Wiedniu 10 groszy.

Proszę mi wobec tych cen pokazać tego pana, któregoby stać było przed każdym „meczem" strzeleckim dla treningu wystrzelić np. 500 patronów — bo przecież przy mniejszej ilości patronów nie można mówić o „treningu" w zagranicznem*) tego słowa znaczeniu.

Ile pieniędzy idzie za granicę? Ile zyskują na tem pośrednicy?

Należałoby sobie tedy życzyć, by krajowe fabryki amunicji — przedewszystkiem „Pocisk" — jak najrychlej przystąpiły do wyrobu amunicji kulowej.

Naturalnie, że nie można od tych fabryk, będących dopiero „na dorobku" żądać, by wyrabiały wszystkie możliwe gatunki i kalibry nabojów kulowych, bo tych jest tak duża ilość, że nawet Niemcy — mimo olbrzymiego aparatu wytwórczego — musiały przystąpić do t. zw. „normalizacji" amunicji kulowej, skazując różne egzotyczne a nie mające racji bytu gatunki patronów na wymarcie.

* Jak zagranicą „trening" rozumieją — to pozwolę sobie przytoczyć jako przykład, że na Olimpjadzie w r. 1924 we Francji miałem sposobność poznać jednego Meksykanina, który jadąc okrętem z Ameryki do Europy przez czas podróży wystrzelił 10.000 (dziesięć tysięcy) patronów rewolwerowych Smith-Wesson kal 320.

Ale np. amunicję do Schönauerów i Mauserów w kalibrach od 6,5 mm do 9,3 mm względnie 9,5 mm — dalej amunicję 9,3/72, a także do poczciwych starych „expressów" 11,6/65 — razem około 12 gatunków — możnaby śmiało w kraju wyrabiać bez obawy braku nabywców.

Ale — tanio! Tanio! Szanowni Panowie!

To samo tyczy się amunicji do pistoletów automatycznych 7,65 mm i 6,25 mm — a także rewolwerów 7 mm, 8 mm i 9 mm.

W dzisiejszych czasach rozkwitu bandytyzmu do niebywałych w historji świata granic — (patrz np. Chicago) — w czasach, gdzie nie można wziąć do ręki gazety, by nie znaleźć w każdym numerze po kilka mordów i napadów — musi każdy człowiek, niezależnie od akcji zresztą bardzo dzielnej naszej Policji Państwowej, sam dbać o własne bezpieczeństwo. Dlatego dziś co drugi człowiek nosi stale, oprócz zegarka, portmonetki, papierośnicy i chustki do nosa, także browning; wśród tak „niebywale korzystnej konjunktury" musi także wyrób tej amunicji być bardzo zyskowny. Zapewniali mnie zresztą właściciele składów amunicji, że żaden towar — poza amunicją śrutową — nie ma takiego zbytu, jak amunicja do browningów.

Zresztą łatwo sprawdzić, która kulowa amunicja cieszy się największym zbytem; wystarczy odpowiednią ankietę rozesłać do magazynów broni a właściciele ich udzielą bardzo chętnie informacji — jako że sprawa leży w ich interesie.

Kończę mój artykuł, żywiąc najmocniejsze przekonanie, że wetknąłem kij w osie gniazdo. Niezawodnie posypią się artykuły, zwalczające moje zapatrywania i twierdzenia. Może być, że rzucą one jakieś inne światło na trudności, z któremi walczą wytwórnie krajowe, które ani mnie, ani ogółowi myśliwych i strzelców są znane — ale na ogół muszę mieć rację, bo oparłem się na realnych cyfrach i faktach — a zdanie moje podzielają bez wyjątku wszyscy właściciele składów amunicji, z którymi na ten temat mówiłem i oni mnie głównie inspirowali do napisania niniejszego artykułu — a oni przecież znają się chyba na rzeczy!

Proszę jednak Sz. Cz. wierzyć mi, że nie kierował mną żaden inny motyw, jak tylko chęć wykazania na jakie niebezpieczeństwo przy dzisiejszych cenach narażona jest tak pięknie zapoczątkowana i tyle widoków rozwoju mająca gałąź przemysłu krajowego — a która tylko na r e a l n e j kalkulacji oparta i dostosowując się do potrzeb ogółu myśliwych i strzelców — a nie pojedyńczych jednostek — do skutecznej walki z zagraniczną konkurencją stanąć i na pożytek kraju rozwijać się może.

Ryków, luty 1930.



Korespondencje

W sprawie łosi w Prusach Wschodnich.

W uzupełnieniu notatki mej o łosiach w Prusach Wschodnich podanej z „Wild u. Hund" w „Łowcu" z 1 stycznia b. r., dodać muszę następujące sprostowanie:

Okazuje się, że daty podane o odstrzale nie były ścisłe i zostały sprostowane w następujący sposób:

W r. 1929 wpłynęły do kancelarji prezydenta Wschodnich Prus podania o odstrzał 66 sztuk (48 byków i 18 klemp). Na te podania udzielono pozwolenia na odstrzał 61 sztuk (43 byków i 18 klemp), a rzeczywiście odstrzelone zostały: 41 sztuk (2 łopaciarze, 29 t. zw. „Stangenelche" i 10 klemp).

W prywatnych rewirach został udzielony odstrzał tylko na 7 byków, z których padło 5.

Prawo wnoszenia podań ma każdy właściciel i dzierżawca prawa polowania bez względu na położenie lub wielkość terenu, w przypisanym terminie i z udowodnieniem wyrządzonych szkód. Prezydent jest ustawowo zobowiązany do zbadania prawdziwości naprowadzonych przez petenta dat o wyrządzonych szkodach i dopiero po sprawdzeniu ma prawo udzielenia pozwolenia na odstrzał w ciągu września.

Obecny stan łosi nie dosięga ani w przybliżeniu stanu przedwojennego, chociaż stosunek ilości byków do klemp jest obecnie lepszy.

Gdy w r. 1912 padło około 170 łosi, co razem ze zwykłym ubytkiem przekroczyło ilość rocznego przychówku, zaczęto już wtedy myśleć o ustawie ochronnej w celu utrzymania łosia, i ustawa ta, byłaby w jesieni 1914 r. weszła w życie, gdyby nie wojna.

Z powodu wielkiej ruchliwości łosia podczas rui, padało przed wojną w niektórych znanych niewielkich rewirach po kilka (do 4) byków rocznie. Rewiry te znane były pod mianem „łapki na łosie". Obecnie stoją łosie jeszcze mniej więcej w 90 prywatnych rewirach Prus Wschodnich.

Dla porównania podać warto, że w Norwegji okres polowania bez różnicy na płeć trwa 10 dni, a w Szwecji przeważnie tylko 3 dni, a w niektórych okolicach nawet tylko 2 dni, w niewielu aż 5 dni, ale zawsze między 10 a 15 października i bez różnicy na płeć.

Oprócz tego w Szwecji ustawowo zakazane jest używanie broni o mniejszym kalibrze niż 9 mm.

Mieczysław Kruszewski

Wczoraj na ciągu strzeliłem słonkę o dziwnem upierzeniu, brudno-białem, z wierzchu lekko czarno nakrapiana, nogi i dziób białawe.

Wabiła, jak zwykle słonki wabią. Mimo, że było jeszcze dosyć jasno, nie zauważyłem białego koloru, może dlatego, że strzelałem na sztych i przez gałęzie. Dopiero gdy padała, zauważyłem bardzo jasny kolor.

Posyłam ją dzisiaj p. Kalkusowi, Zimorowicza 14 — do wypchania i tam jest do oglądnięcia, a warto ją zobaczyć.

Roman Pawlik
leśniczy w Wulce Mazowieckiej

Borysław, 31 marca 1930

W trosce o powiększenie zwierzostanu, na terenach łowieckich Polski, o doprowadzenie łowiectwa naszego i gospodarki myśliwskiej do maksymalnej wydajności, sama przez się narzuca się myśl, o koniecznej zmianie i nowelizacji naszej ustawy łowieckiej z dnia 3 grudnia 1927 r., w której, po dokładnem jej przejrzeniu i zastosowaniu w praktyce, zauważyć się dają poważne braki.

Usunąć je można przez: zmniejszenie ilości obwodów łowieckich, zmniejszenie ilości myśliwych uprawnionych do polowania, a przynajmniej przeprowadzenie selekcji ich, wytępienie kłusownictwa i wnykarstwa i zaprowadzenie racjonalnej, a nie rabunkowej gospodarki zwierzyny łownej, a to przy odpowiednich zmianach ustawy łowieckiej, jest osiągalne.

W związku z tem, należałoby poczynić następujące zmiany i nowalje:

Rozdział II Art. 6:

„Właściciel polowania może użytkować je samodzielnie, jeżeli obszar gruntu, na którym ma polowanie, nie jest mniejszy od dwustu hektarów ciągłej powierzchni...".

Rozdział III Art. 27:

„...Właściciel lub dzierżawca polowania może wydać taką ilość pisemnych zezwoleń, aby na każdego posiadacza zezwolenia przypadało co najmniej sto hektarów powierzchni obwodu łowieckiego".

Rozdział III Art. 39:

„Psów znajdujących się przy ich właścicielach lub domownikach właścicieli nie uważa się za psy włóczące się".

Artykuł ten, należałoby znieść, gdyż pies-stróż, powinien być na uwięzi przy domu. Pies chodzący po terenach łowieckich, nawet ze swoim właścicielem, lub jego domownikami, płoszy i niszczy zwierzynę i jest przez to szkodnikiem.

Rozdział V Art. 73:

„...Funkcjonarjusze państwowi obowiązani są powiadamiać niezwłocznie miejscowego starostę lub najbliższy posterunek policji o dostrzeżonych przez siebie, w czasie pełnienia swoich obowiązków, przekroczeniach przepisów rozporządzenia niniejszego i rozporządzeń na jego podstawie wydanych".

Artykuł ten, należałoby zastosować do wójta gminy, co dotychczas nie jest praktykowane, a który jest przecie funkcjonarjuszem państwowym; oraz do spółki łowieckiej i uczynić ich dyscyplinarnie odpowiedzialnymi przed starostwem za nieprzestrzeganie tego artykułu.

Ten środek jedynie może się przyczynić do wytępienia kłusownictwa i wnykarstwa. Jedynie ci mogą je radykalnie wytępić, w myśl przysłowia, że „wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi".

Aby zapobiec wydzierżawianiu terenów łowieckich osobom nieodpowiednim, co się teraz często zdarza, należałoby zmienić proceder i uprawnienia przy dzierżawieniu terenów, a to w ten sposób, aby dać większe pełnomocnictwa i prawa czynnikom miarodajnym, a można to uskutecznić tak:

Spółka łowiecka ogłasza, że teren jej gminy jest do wydzierżawienia i do takiego a takiego dnia należy składać na ręce jej oferty dzierżawne. Po zebraniu ofert przedstawia je spółka łowiecka do zaopinjowania powiatowemu delegatowi łowieckiemu, który opinjuje danych oferentów, pod względem przestrzegania przez nich ustawy łowieckiej, oraz etyki myśliwskiej i stawia swoje wnioski.

Oferta taka zaopinjowana już idzie do starostwa, które kierując się opinją delegata, oraz korzyściami materjalnemi dla gminy, jedną z ofert zatwierdza.

Postępując w ten sposób, będziemy mieli gwarancję, że tereny łowieckie dostaną się w odpowiednie ręce i że na nich będzie prowadzona racjonalna gospodarka, a zwierzostan będzie wzrastał.

St. Bydłowski

Sprawozdanie z polowań Miejskiego Tow. Myśliwskiego we Lwowie

Miejskie Towarzystwo Myśliwskie, najstarsze, od prawie 100 lat we Lwowie istniejące, stowarzyszenie myśliwych niema wygórowanych ambicyj i nie może poszczycić się zdobyczami wśród grubej lub rzadkiej zwierzyny. Nie wszyscy członkowie jego wspinają się w wysokie góry w pogoni za jeleniem lub niedźwiedziem, a nawet nie często spotykają się z dzikami, tak bardzo ozdabiającemi rozkład wielkich polowań. Podmiejskie tereny lwowskie, to dziedzina skromnej działalności naszego zespołu. Dobrana drużyna myśliwska, swobodna myśl w ukradzionych codziennej pracy godzinach spędzonych w prześlicznych okolicach naszego grodu, to rozkosz naszych Towarzyszy.

Pobliże wielkiego miasta nie sprzyja tu gospodarce łowieckiej. Kłusownictwo, wnykarstwo i wszelkie inne sposoby czyhania na życie drobnej zwierzyny święcą tu prawdziwe orgje. Walka z tymi nieprawościami podnieca nas i nie zniechęcamy się trudnościami, czasem bardzo nie łatwemi do pokonania. Wszelki sukces, każdy wzrost w stanie zwierzyny, cieszy nas podwójnie, gdyż jest owocem niemałego trudu włożonego w napozór niewdzięczną, a przecież tak pożyteczną pracę.

Podajemy do wiadomości ogółu myśliwych rezultaty ostatniego roku naszej gospodarki łowieckiej w tej myśli, że interesować to go będzie, jak radzi sobie brać myśliwska polująca zawsze z zapałem, choć nie zawsze z świetnemi rezultatami, wśród pól, lasów i wzgórz, z których widać Wysoki Zamek i wieżyce lwowskich kościołów.

W sezonie łowieckim 1929/30 odbyło Towarzystwo 17 polowań.

1. Polowanie w Zubrzy 12 października 1929. Rano deszcz, potem pogodnie. Polowano tylko na słonki, bażanty i lisy. Widziano 8 bażantów. Stan sarn poprawił się. Słonek strzelano 10, z tych padło 8. W 16 myśliwych ubito 8 słonek. Nagonki 19. Koszt 60 zł.

2. Polowanie w Ślepej i Żyrawce 16 listopada 1929 na słonki i lisy. Słonek dużo, z których wiele chybiono. Uszły chybione 3 lisy, a czwarty był widziany. Stan sarn poprawił się widocznie. Widziano zajęcy stosunkowo dużo. W 11 strzelb ubito 4 słonki. Nagonki 24, koszt 70 zł. 50 gr.

3. Polowanie w Zubrzy 23 października 1929, wyłącznie na słonki i lisy. Dzień bardzo piękny. Słonek dużo. Bażanty uszły bez strzału, sarn widziano dużo. W 9 strzelb ubito 7 słonek i 1 lisa. Naganiaczy 28, koszt 75 zł. 50 gr.

4. Polowanie w Średniej II, część 2. Pierwsze polowanie na zające. Dzień dżdżysty, zajęcy mało. Lisy w jamach, widziano 2 lisy. Sarn widziano dużo. W 13 strzelb ubito 10 zajęcy. Nagonki 30, koszt 98 zł.

5. Polowanie w Średniej II, część 1 w dniu 23-go listopada 1929. Pogoda bez słońca, chłodno. Zajęcy mało. Lisy wytępione, jednego widziano. Dużo sarn, w rudlach po kilka, a nawet po kilkanaście sztuk. W 13 strzelb ubito 12 zajęcy. Naganiaczy 30, koszt 101 zł.

6. Polowanie w Średniej I w dniu 27 listopada 1929. Mglisto, zajęcy dość dużo, lisów nie widziano. W 8 strzelb ubito 15 zajęcy. Nagonki 30, koszt 97 zł.

7. Polowanie w Malechowie i Grzybowicach (Łany) w dniu 7 grudnia 1929. Pogoda piękna, zajęcy wcale dużo. W 12 strzelb ubito 21 zajęcy, nagonki 40, koszt 124 zł. 75 gr.

8. Polowanie w Grzybowicach-Kolonji, w dniu 30 listopada 1929. Dzień pochmurny, zajęcy mało. W 14 strzelb ubito 12 zajęcy i 2 kaczki. Nagonki 37, koszt 115 zł. 75 gr.

9. Polowanie w Dębniakach 11 grudnia 1929. Mgła i drobny śnieg. Zajęcy dużo, lisów nie widziano, kilka sarn odosobnionych. W 12 strzelb ubito 30 zajęcy, nagonki 33, koszt 120 zł. 50 gr.

10. Polowanie w Srokach lwowskich 14 grudnia 1929. Pogodnie. Zajęcy stosunkowo wiele, ale z powodu małej ilości myśliwych i wielkich miotów polnych zające uchodzą flankami. W 10 strzelb ubito 13 zajęcy, nagonki 31, koszt 88 zł. 50 gr.

11. Polowanie w Osowej 21 grudnia 1929. Dzień słoneczny przy kilkustopniowym mrozie. Zajęcy stosunkowo dużo, jeden lis chybiony, dużo pudeł. W 10 strzelb ubito 17 zajęcy, nagonki 31, koszt 106 zł.

12. Polowanie w Białohorszczy 22 grudnia 1929. Dzień mroźny lecz spokojny, prószy śnieg. Zajęcy jak na dawniej niezawodną knieję niezwykle mało. Z powodu braku zajęcy zakończono polowanie w południe. Prezes składa Towarzyszom życzenia świąteczne. W 15 strzelb ubito 6 zajęcy, naganiaczy 30, koszt 107 zł.

13. Polowanie w Zboiskach i Malechowie 28 grudnia 1929. Dzień pochmurny przy kilkustopniowym mrozie. Zajęcy wcale dużo. W 11 strzelb ubito 40 zajęcy, naganiaczy 43, koszt 152 zł. 50 gr.

14. Polowanie w Zubrzy 2 stycznia 1930. Dzień piękny, słoneczny. Zajęcy stosunkowo dużo. Z powodu gęstej mgły było rano wiele pudeł. Chybiony lis. Bażantów widziano tylko kilka sztuk, padł jeden stary kogut. W 19 strzelb ubito 31 zajęcy i 1 bażanta. Nagonki 47, koszt 166 zł. 50 gr.

15. Polowanie w Grzybowicach-Zbierance w dniu 4 stycznia 1930. Dzień bardzo piękny i słoneczny. Zajęcy stosunkowo dużo. W 10 strzelb ubito 18 zajęcy. Naganiaczy 46, koszt 136 zł. 50 gr.

16. Polowanie w Ślepej i Żyrawce dnia 8 stycznia 1930. Dzień spokojny i słoneczny. W krzakach żyrawieckich zajęcy wcale wiele, natomiast w Ślepej stan zajęcy fatalny, graniczący z ich wytępieniem. Sarn widziano kilka. W 12 strzelb zabito jednego lisa i 24 zajęcy. Drugi lis silnie postrzelony uciekł do jamy. Naganiaczy 25, koszt 99 zł.

17. Polowanie w Śwince 11 stycznia 1930. Dzień rano mglisty, potem pogodny. Zajęcy dość znaczna ilość, część postrzelonych uszła. W 10 strzelb ubito 27 zajęcy. Nagonki 36, koszt 113 zł. 50 gr.

Zestawienie wyników

Na 17 polowaniach ubito 2 lisy, 276 zajęcy, 19 słonek, 1 bażanta i 2 kaczki krzyżówki, ogółem sztuk 300.

W roku poprzednim 1928/29 padło 7 lisów, 241 zajęcy i 5 słonek, a więc sztuk 253. Przy porównaniu tych cyfr uwzględnić należy z jednej strony, że w roku bieżącym przepolowano większą ilość rewirów, (jak Grzybowice, Sroki lwowskie i żyrawkę), z drugiej zaś strony ciężka obfitująca w nadmierne śniegi ubiegła zima wpływała niewątpliwie bardzo ujemnie na stan zwierzyny. Rezultatem tych rozważań jest myśl pocieszająca, że stan zajęcy w naszych terenach łowieckich wprawdzie nie wzrósł, ale też się nie zmniejszył, natomiast stan sarn jest bezwarunkowo lepszy, aniżeli w poprzednim sezonie. Zauważyliśmy także, że lisy są w niektórych rewirach prawie doszczętnie wytępione, a w innych pojawiają się w mniejszej ilości.

Na 17 gremjalnych polowaniach użyliśmy 560 naganiaczy, a ogólny koszt tych polowań wynosi 2.009 zł. 76 gr.

Chów bażantów w Zubrzy nie wydał dodatnich rezultatów, po części z powodu niesprzyjających warunków atmosferycznych w chwili puszczenia ich do lasu, a po części dla niedostatecznej i jeszcze nie dość dobrze zorganizowanej opieki nad nowymi gośćmi tego za blisko miasta położonego gaju. Niezrażeni tem pierwszem niepowodzeniem wprowadzamy bażanty do lasku i krzaków w Malechowie, ufni, że uda się nam osiągnąć tam upragnione dobre wyniki.

Na polowaniach luźnych padło 18 kaczek krzyżówek, 18 cyranek, 4 dublety, 40 krzyków, 4 słonki, 2 przepiórki i 3 turkawki, razem 89 sztuk.

Nasza straż łowiecka ubiła następujące ilości szkodników: psów 141, kotów 97, łasic 8, jastrzębi 11, bociana 1, kruków 19, wron 272, srok 60, sojek 53, a więc razem 662 sztuk. Straży łowieckiej daliśmy 1172 naboji. Odebrano kłusownikom 6 strzelb, znaleziono i podjęto 141 sideł (wnyków) i 10 łapek żelaznych.

Podnosimy to z prawdziwą wdzięcznością, że organy Magistratu m. Lwowa, a przedewszystkiem Zarząd Dóbr Miejskich, udzielał nam swej wydatnej i bardzo skutecznej pomocy przy organizowaniu straży lasowej i czuwaniu nad podniesieniem stanu zwierzyny.

Także policja państwowa, a przedewszystkiem posterunki policji w Żydatyczach, Sichowie i Dawidowie, czuwały pilnie nad tępieniem kłusownictwa i były bardzo pomocne naszym łowczym i naszej straży łowieckiej przy ukrócaniu nadużyć kłusowniczych. Wypłaciliśmy 250 zł. tytułem nagród udzielonych za pośrednictwem władzy przełożonej organom policji państwowej.

Natomiast z żalem podnieść jesteśmy zmuszeni, że wielokrotne doniesienia nasze zwrócone do Starostwa lwowskiego odnosiły marny skutek, gdyż wymierzano kary nadzwyczaj łagodne, a nawet uwalniano oczywiście winnych i zwracano odebraną broń nawet takim, na gorącym uczynku schwytanym kłusownikom, którzy nie posiadali ani karty myśliwskiej, ani zezwolenia na noszenie broni. Oczywistem jest, że taka względność przyczynić się może chyba tylko do rozzuchwalenia kłusowników grasujących w okolicach Lwowa silniej jeszcze, aniżeli w innych częściach kraju.

Tereny łowieckie Miejskiego Towarzystwa Myśliwskiego w r. 1930

I. Rewiry dzierżawione od gminy m. Lwowa .			5.360 mg
II. Tereny gminne z dawnych dzierżaw:			
1. gmina Brzuchowice . .		627 mg	
2. „ Hołosko Wielkie		900 „	
3. „ Białohorszcze .		400 „	
4. „ Zubrza		2.476 „	
5. „ Pasieki zubrz. .		657 „	
6. „ Sichów . . .		720 „	
7. „ Sołonka . . .		1.000 „	
Sa . . .		6.780 mg	6.780 mg
Do przeniesienia			12.140 mg

	Z przeniesienia		12.140 mg
III. Tereny gminne zadzierżawione w ostatnim r.:			
1. gmina Borki dominik. .	717 mg		
2. „ Zamarstynów .	337 „		
3. „ Zboiska . . .	712 „		
4. „ Malechów . . .	806 „		
5. „ Grzybowice . .	3.400 „		
6. „ Sroki	375 „		
7. „ Rudno	800 „		
8. „ Kozielniki . . .	280 „		
9. „ Żyrawka . . .	2.168 „		
Sa . . .	9.955 mg		9.955 mg
Razem .			22.095 mg

Z Wydziału Miejskiego Towarzystwa Myśliwskiego

Edward Gutteter — gener. łowczy

August Łoziński — prezes



Z Oddziału Małop. Tow. Łowieckiego w Krakowie

Zaproszenie na Ogólne Zebranie Członków

Na posiedzeniu dnia 21 marca b. r., poświeconem głównie sprawom **dorocznego Ogóln. Zebrania Członków** a także ważniejszym sprawom bieżącym, ustalono termin dla tegoż Zebrania **na piątek,** dnia 23 (**dwudziestego-trzeciego) maja b. r., o godz. 5 popoł.,** w Krakowie w sali Towarzystwa Strzeleckiego przy ul. Lubicz 16. — Obrano wcześniejszą godzinę ze względu na członków zamiejscowych, ażeby ewent. jeszcze tegosamego dnia koleją mogli powrócić do miejsc swego zamieszkania.

Porządek dzienny Zebrania: 1. Zagajenie. — 2. Odczytanie protokołu z poprzedniego Og. Zebr. — 3. Sprawozdanie z czynności i zamknięcia rachunków za rok 1929. — 4. Sprawozdanie Komisji rewizyjnej oraz wniosek o udzielenie wydziałowi absolutorjum. — 5. Wybór, w miejsce wylosowanych, 2 członków i 1 zast. czł. Wydziału. — 6. Przystąpienie Oddziału Tow., w charakterze członka, d oOddziału Ligi Ochrony Przyrody Województwa krakowskiego. — 7. Wnioski i interpelacje.

Na powyższe Ogólne Zebranie zapraszamy niniejszem wszystkich Członków Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego zamieszkałych na terytorjum Województwa krakowskiego.

Kraków, dnia 26 kwietnia 1930.

Za Wydział Oddziału M. T. Ł. w Krakowie:

Stiller — em. gen.. dyw. prezes

Morawetz — sekretarz

Z OSTATNIEJ CHWILI

Po zamknięciu niniejszego numeru, w chwili oddawania go pod prasę, otrzymaliśmy z Centrali naszej telegraficzną wiadomość, że łowiectwo polskie udziału w Wystawie w Lipsku nie weźmie.

SPROSTOWANIA

W N-rze 8 „Łowca", w artykule **Historja jeleniego wieńca,** na str. 117, w kolumnie I. wiersz 28 od góry, zamiast: mamy po raz drugi widłaka, ma być: mamy po raz drugi szpiczaka.

W korespondencji: „Jeszcze o polowaniach na zające w ubiegłym sezonie", umieszczonej w N-rze 8 „Łowca" z 16 kwietnia 1930, wkradły się następujące pomyłki druku: Na stronicy 124, szpalta 2-ga, ustęp przedostatni, zamiast zniekształconego i przez to niezrozumiałego zdania: „Nie wiele się one dotychczas niestety na korzyść zmieniły, bo cuda się nie dzieją i dlatego w N-rze 4 „Łowca" z kwietnia 1922, pisał p. Prof. Gürtler o rzeszowskich polowaniach w kociołki" — ma być: **„Nie wiele się one dotychczas niestety na korzyść zmieniły, bo cuda się nie dzieją i dlatego w Nr. 24 „Łowca" z 1929 delikatnie tych spraw dotknąłem. — A jeszcze dawniej, bo w Nr. 4 „Łowca" z kwietnia 1922 pisał p. Prof. Gürtler o rzeszowskich polowaniach w kociołki".**

Na str. 125, szpalta 1-sza, ustęp 5-ty, zamiast słów: „dochodzi się częstokroć zupełnie fałszywych wniosków" ma być: **„dochodzi się częstokroć do zupełnie fałszywych wniosków".**

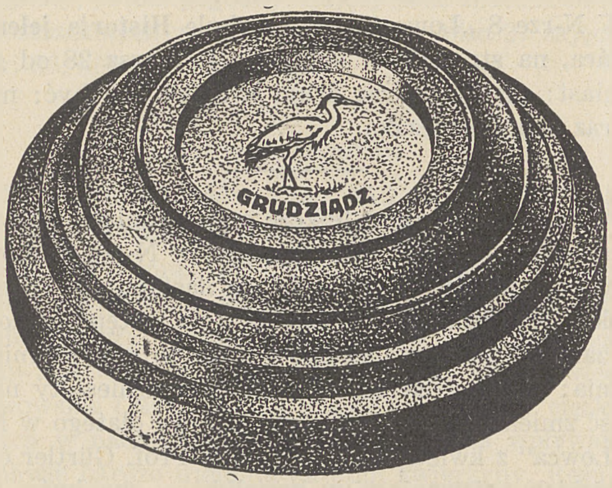
Na stronie 125 szpalta 2-ga, ustęp 13-ty, zamiast słów: „terenem uszanowanym", ma być: **„terenem zaszanowanym".**

Z wydawnictw

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 14 zawiera: Antoni Zagłoba Smoliński: Na niedźwiedzia. — Władysław Zabiełło: Cykl wierszy. — J. Podoski: Energja teoretyczna a skuteczność pocisku. — Aleksander Janta Połczyński: „Łowiectwo we Francji". — Janusz Domaniewski: Z literatury łowieckiej. — Dr. W. B.: W obronie jelenia w Karpatach. — Tadeusz Bodakiewicz: Odpowiedź P. U. Raszke w sprawie dotyczącej Wystawy psów polowych na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu. — Z prasy zagranicznej. — Z żałobnej karty. — Międzynarodowa Wystawa Łowiecka w Lipsku. — Kronika myśliwska. — Wiadomości bieżące. — Bibljografja łowiecka. Odpowiedzi Redakcji.

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 15—16 z r. 1930, zawiera: Andrzej Onyszkiewicz: Z polowań w Rozhurczu. — Czesław Rossiński: Z ubiegłej wiosny. — A. Wiśniewski: W dziewiczych lasach Parany. — Józef Potocki: żubry w Woburn w Anglji. — Edward Niedziałkowski: Głuszec podtatusiały. — Aleksander Janta-Połczyński: Trzy filmy. — A. Longchamps: W odpowiedzi na artykuł „Waleczność i tchórzostwo zwierząt. — Mgr. Stanisław Leszczycki: List do Redakcji o ochronę przyrody. — Z Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich. — Walne Zgromadzenie Wielkopolskiego Związku Myśliwych. Międzynarodowa Wystawa Łowiecka w Lipsku. — Kronika Myśliwska z reprezentacyjnych terenów w Spale. Sprawozdanie myśliwskie za rok 1929 z powiatu radomskiego. — Z żałobnej karty. — Wiadomości bieżące. — Odpowiedzi Redakcji. — Sprostowania.

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 17, zawiera: Maurycy Potocki: W sprawie łosia. — Andrzej Onyszkiewicz: Z polowań w Rozhurczu. — Janusz Jaworski: Wspomnienia z toków. — Inż. Leon Ossowski: Choroby naszej zwierzyny łownej oraz sposoby ich zwalczania. — Emil Karney: W sprawie szkockich setterów t. zw. gordonów. — Aleksander Janta-Połczyński: Łowiectwo we Francji. — W. S.: Śrut pokryty miedzią. — Janusz Domaniewski: Przyczynek do bibljografji prac ś. p. Jana Sztolcmana. List do Redakcji. — Z Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich. — Kronika myśliwska. — Wiadomości bieżące.



Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16